

Boga znali i widzieli jako jawienie się wszyskiego i był dla nich wielopostaciową Bożą. Widzieli skórą i palcami światło, otaczające żywe istoty. Cywilizowany alfabet wyjawiał im się z Bo-zi Patrz I Czytaj, która spęczniała i musiała się wysypać, i za-działała przez Dziadziarę i Filipone, a wysypała się wprost w ludzki głos z mnostwem wygłosków, i zobaczyli isnienie alfa-betu, przószył białym światłem — nam się czasem tak zdarza podczas lektury Pisma Świętego. Ale dalej to już sama Filipona odkryła prawdziwie uprzyjemniającą rzecz: można było zapisać brak głosu, czyli to, co najpierw powstaje w głowie, a potem przeczytać na głos. Najpierw, co w głowie, i zapisać, a potem przeczytać na głos. Zrozumiała strukturę alfabetu.

Wkrótce cały Naraj został nauczony struktury alfabetu. Nigdy tak dużo nie myśleli nad głosem, brakiem głosu, możliwością za-pisu braku głosu, a potem odczytania braku głosu na głos. Nigdy dotąd tak nie rozkoszowali się możliwościami odkrywania wygło-sków w głosie, smakowania według zmiany cywilizacyjnej. Nigdy dotąd tak starannie nie wymawiali wygłosków. Nauka alfabetu polegała na tym, że wpatrywali się w litery i zapamiętywali, sma-kując. Nadszedł taki dzień, że każdy chciał napisać pierwsze zda-nie. Popędzili tłumnie do Filipony po tkalemię, ale ona ustanowi-ta limit: każdy może napisać tylko dwanaście słów na tydzień, a na cały rok ma wystarczyć każdemu dwanaście kartek, a na pierwszy dzień to najwyżej po dwa słowa poprosi. Ostatecznie większość tego dnia dość skąpo wydusiła status narajski: ja czo-łowiek; czelowiek ja; cłowak; cłowak. Mielł spracowane ręce i kuifonili. Nie przewidzieli, że palce okazały się obcą siłą ro-boczą, nie rozumiejącą nowych poleceń. Z cyframi i kołoświatła-mi było łatwiej, była to abstrakcja, nie mająca związku z ustami ani uchem. A tu nie mogli utracić w odpowiednie wygłoski — spiąc ust z literą i dokładnie wysłuchac rezultatu. I zbyt gorliwie naciskali na patyk, chlapiali pigmentem sobie w nozdrza. W oczach isniło im od cłowików i cłowaków, jakby od beładnych szczebli różnych drabin, jakby się znaleźli pośród mięśni Bozi Patrz I Czytaj, teraz piszącej, i jeszcze nie wiedzieli, które z jej mięśni najlepiej piszą po narajsku. Wkrótce Bozia Patrz I Czytaj opuści Naraj, odleci do analabetów i będzie się u nich nudzić



przez dwa tysiące lat. Jej działanie w Naraju zostało szczęśliwie doprowadzone do *bozikońca*, gdy już wiadomo, że *bozikoniec* będzie rozwojowym początkiem ludzkim.

Rzeczy i istoty dzielili na święte i najbardziej święte, a przestrzeń życia nazywali święcką — święcością. Filiponę uznali za najbardziej świętą, a takie najbardziej święte kobiety nazywali Babiniami, a mężczyzn takich — Babami, za wynalazczość. A zło pochodziło z szulu.

Odkrywali, że pisać można w zasadzie wszystkim, nie tylko marmulowym patykiem, bo można piórem dużego zobacza, a także nadpaloną zeczką, płaskim patykiem z palnym, pstrym, żółtoszarym i szorstkim nagniotkiem. Spod zeczki, ślinionej i wtykanej w popluty i roztarty popiół, litery wychodziły pstre, żółtoszare, jakby nasz kot tygrysek przemykał przez poskrobaną szybę, zamalowaną przedtem brudną bielą na czas remontu jakiegoś naszego wnętrza. Litery spod zeczki wciskały się ładnie w tkalemlę, tylko że trzeba było co chwila zeczkę nadpalać i co chwila ją ślinić, i w popiół popluwać. Nie był to zresztą wielki kłopot, skoro mogli napisać tylko dwanaście słów na tydzień. Konopna z dodatkiem odrzykija tkalemla Filipony dobrze wchłaniała każdy rodzaj pigmentu. Ćwiczyli palce.

Filipona odkryła, że najmocniej można pigment utrwalić wyciągiem z robaczywego orzecha marmuli, najlepiej suchego, częściowo pustego, takiego, w którym robak obumarł, ale zdążył porządnie się sfajdać, a przedtem napluć i zwymiotować, i był tłusty, i nie stracił opasłej figury, a do tego należało dodać soku z mlekodaju i kilka kropel gumiaki, wyciągu z kapelusza marmuli. Ale jej ukochanym pigmentem stał się rdzawo-czerwony ze smoczego oka, rodzaju czarnej kurzwy, kurzwijącej jaskrawo czerwono, a czerwień ta na papierze zachodziła rdzawością. Kurzwę z przejrzałej kurzwy należało nakurzwic do tkalemlowej tutki, sposoczyć, doprawić gumiaką. Dojrzała kurzwa pachniała wtedy naszą Ballantine's Scotch Whisky, jak zaświadcza dzik, który nowożytniej epoki dość się nawęchał, z daleka, ale wszystko o nas nowożytnych wie, a mówimy to, żeby się później nie powtarzać — wszystkie porównania z nowożytnością otrzymamy od niego. Spróbowała nowego wynalazku: pisanie paznokciem,

zaostrzonym i nadciętym, jak nasza stalówka. Pisała każdym z palców prawej ręki, nawet małym. Paznokcie ścierały się, więc pisała również paznokciami lewej ręki. Sobie też wyznaczyła ten sam limit: dwanaście słów na tydzień, ale po cichu ten limit przekraczała nawet po kilka razy po dwanaście słów, a inni też zaczęli przekraczać, tłumacząc się, że to sąsiad wciąż się dopisuje dwunastką do dwunastki. Pisała od lewej do prawej, odwracała kartkę i od lewej, i odwracała kartkę, i od lewej, jakby opasywała pień płaskiego drzewa, a w związku z tym rzędy zdań po prawej stronie nieznacznie obsuwały się. Tekst nie miał okrzyginesów. Nie używała znaków przestankowych, ale któregoś dnia wpadła na pomysł, żeby poszczególne zdania odgradzać krzyżykami jak kapliczkami — myśl wydała się Filiponie świeżo przetartą ścieżką, drogą, śladami jak od stóp, no to kapliczki pasowały. Nie robiła różnicy między małą a dużą literą, wymyśliła coś pośredniego, odręczny druk literą średnią. Inni pisali tak samo, ale jeśli chodzi o układ, to różnie. Ktoś pisał jak Filipona, opasując i bez okrzyginesów. Ktoś pisał jak Dziadziara, słupkiem, z szerokimi okrzyginesami. Ktoś na tej samej stronie zawracał, jakby formował ciasne szczeble drabiny lub sztukował i zawijał węże, i bez okrzyginesów. Szybko ustalili system opasujący bez okrzyginesów, zwany opasem, aby nie błędzić przy odczytywaniu, i dodawali kapliczki. Alfabet od razu nazwali filiponką. Filipona miała czarne pazury od swego pisanie. Wkrótce nazwano ją Czarną Babinia. Nikt poza nią pazurami nie pisał. Każdy dom prowadził małe archiwum zapisanych kartek, aby je pod koniec roku złożyć w archiwum u Czarnej Babini.

Czarna Babinia tak się wprawiała w robieniu tkalemli z konopi i odrzykija, że wynalazła rodzaj miękkiej, ligninowej, ale mocnej, toteż używano jej jako pieluch. W tej tkalemli pozostawiała ciopy, były ozdobą. Obsikane pieluchy z ciopami suszono tak długo, aż pozbywały się przykrego zapachu i dopiero na takiej tkalemli pigment trzymał się mocno. Nie plamił, nie blakł, tkalemla twardniała, cudo. Ciopy obcinano. Ten rodzaj tkalemli nazwano obsikami. To na obsikach Czarna Babinia spisywała potrzeby — projekty nowych wynalazków. Dodawała rysunki wynalazków. Jeśli wymyśliła nowy piłak, to pisała: moja nówka piłak — i rysowała



nówkę: w zęby rozżądłone lub składne jak rogi ślimaka, bez gulek. Inni też w ten sam sposób wykorzystywali obsiki. Rozrosły się pola, nie wszere, a w kształcie wędrującej przed siebie fili, z łaski Bozi od pól, Policjantki. Wbiegali z zadartą głową w konopie, aby się rozweselić, albo w odrzykije, aby wetchnąć podbiały płatek raz na miesiąc. Własny głos wtedy stawał się podbity echem ze zmierzwionego i spuszonego złota, białego, i człowiek nie był pisany na nicości. Uważali jednak, aby nie przedawkować wonności, nie utonąć w białym złocie echa. Poza tym od konopi mogła rozboleć głowa, a od odrzykija oczy i gardło. Zbyt wonne były to rozweselacze i w pewnym momencie przestawały być przyjemne. Nie jarali marychy w naszym sensie. Czasem ktoś zajarzał coś, ale nie z mistrzów wynalazców, tylko z pomocników, aby dostać dorównawczego dynamizmu, którego i tak nie dostawał.

Dzikimur, mąż Czarnej Babini, był wymyślaczem siekier, uskrzydłonych, lekkich. Pewnej nocy wyśnił mu się ogród siekier: siekiera chciała przewyższyć siekierę, pełzła trzonkiem do góry, jak wiosenną łodygą, i stawała się tłustym sierpem, zaćmiewającym księżyc, a tak lśniła, że aż się śliniła własnym blaskiem, a rozpychały się te siekiery w ogrodzie, szturchając się jak na ludnym zebraniu, a każda chciała dotknąć nieba i stać się tłustym sierpem, i ślinić się własnym blaskiem, i zaćmić księżyc. Od tej nocy co noc śnił się Dzikimurowi ten ogród siekier, śliniący się własnym blaskiem i zaćmiewający księżyc. I wyśnił mu się główny czarny sen z czarnym pytaniem: a co, jeśli stworzyć taką siekierę, która rąbałaby wrażego człowieka na szczapy, jak się rąbie na szczapy drewno? Wykonał taką siekierę z tłustym sierpem, topór, choć takich Naraje nie potrzebowali, zrobił to z czystej głupoty, zwiedziony snem, ale od razu dostał zamówienie na cały taki ogród, a zapłatą miały być dwa pola. Zamówienie przyszło od Łachmytów, którzy żyli za Pierwszą Wysoczyzną, daleko, ale nie aż tak daleko, żeby to miejsce nie usłyszało o ogrodzie toporów. Zresztą może Dzikimur sam się im pochwalił, że takie narzędzie ma. Dzikimur wykonał wiele toporów do rąbania wrażych ludzi, ale w końcu, kiedy gdzieś poszedł, to nie wrócił, został porąbany przez Łachmytów na zapłacie, na jednym z nowych

pól. Odnaleziono go w takim stanie, że trudno tu mówić o człowieku — wyglądał jak roztrzepany krzak mielin, czerwono i czarno owocujący, jakby spadł na ten krzak kamienny dzik, na którym Czarna Babinia prasowała swoją tkalemlę, i jakby ten dzik zamiast brzucha miał same pługi z tłustymi ostrzami. Pozbierali Dzikimura jak najstaranniej i pochowali w worku, który wyglądał, jakby w nim było tylko pięć kilogramów rzepy. Wtedy to napisali, z inspiracji Czarnej Babini, konstytucję, kredą po rdzawej blasze i przybili do słupa obok kamiennego dzika: +my naraje wolne człowieki nie będziemy rąbać człowieków toporem ani wytwarzać toporów do rąbania ludzi ani bratać się z łachmytami+

Tak, tylko że Łachmyci mieli mnóstwo toporów Dzikimura. Coś z tym trzeba było zrobić. Rzadko to robili, ale zrobili: zamknęli Łachmytów w matniowej linii, którą obrysowali ich teren, sypiąc proszek z białego tatrzytu, a następnie przy pomocy słów szulanki — ludzie szulizny lećcie do swego do szulu — i dmuchania w żar, rozsypany według tatrzytowej linii, nasłali na nich wielki pożar ze wszystkich stron, dokonali wyszulania. Wioska Łachmytów spłonęła żywcem, a topory Dzikimura powykręcało jak świdry. Mogli znowu przystąpić do wymyślania rzeczy uprzyjemniających. Zrezygnowali z nowych pól, uznając je za skażone łachmycią zbrodnią, a poza tym były zbędne — pola brali sobie bezpośrednio od Bozi Policjantki, a nowe pola do niej nie należały. Postanowili więcej nie proskować tatrzytu. Tatrzyt wywoływał efekt zamknięcia zagrożenia w pudle i unicestwienia zagrożenia wraz z pudłem. Było to straszne również dla wykonawcy. Gdyby posypujący tatrzytem wykonawca opamiętał się i chciał wycofać, proces wyszulania i tak by się dokonywał na jego oczach, według pierwotnego zamierzenia, czyli Łachmyci i tak by się spalili, może nie w tym dniu. Mało tego — sama bliska obecność tatrzytu magazynowała czasem ludzką myśl o wyszulaniu i ono dokonywało się samo po myśli myślących.

Dzikimur to był trzeci mąż Czarnej Babini. Pierwszego, Miedzioręta, coś w lesie zjadło. Drugi mąż to był Kamieniółom i też go coś w lesie zjadło. To nie Łachmyci, nie byli ludożercami. Imiona nadawano dorosłym ze względu na osobowość, a dzieciom jak



kto chciał — imię kształtowało się i zwykle w miarę dorostania dziecko traciło nawet po kilka imion. Miedzioryt ciągle drażył jakiś drobny problem, kto naprószył zeczką, kto naśmiecił sieczką, kto nakurzwił kurzwą, a Kamieniołom przechodził obok i problemu nie widział, i nie widział ani nie słyszał Miedzioryta. A Dziki-mur był jak budowniczy dzikich murów. Nie wiadomo jednak, co dzikiego wymyślił przed toporami. Nie zostało odnotowane. Był cennym wynalazcą niedzikich rzeczy. Prócz uskrzydłonych niedzikich siekier do rąbania drewna produkował uskrzydłone niedzikie noże do kuchennego użytku i uskrzydłone niedzikie młotki, i inne rzeczy uskrzydłone i niedzikie, jak metalowe nóżki do skrzyniastych mebli czy metalowe kubki, po narajsku — stoje.

Czarna Babinia zmarła w konopiach, a przedtem przebiegła przez odrzykije, wylamując w nich ścieżkę z wysokimi ścianami — tak rozchyliła odrzykije, jak w naszych amerykańskich filmach pędzące samochody rozchylają ludzi. Wtargnęła pomiędzy te bady, aby się rozweselić i po kryjomu przejrzeć w wybielająco odmładzającym płótnie Dziadziary, to już w konopiach, ale kiedy już się rozweseliła i do woli naprzyglądała w dziadziarce, tak nazwali to płótno, to poczuła się słabo, płótno wypłynęło z rąk, w to płótno upadła, prosto w swoje odbicie. Jeszcze podniosła się, stanęła w odbiciu, ale wtedy zobaczyła czarną ważkę, zwiastunkę śmierci. Wypłynęła z brązowego mroku konopi, zawisała na wprost twarzy i nie chciała ustąpić. Jej skrzydła były szare, czarno-szare, z przesianej czerni, z sitkowanej, z nieustępliwej czerni sita. Widok stylonów nie był wtedy obcy dla oka. Była bezsilna wobec potęgi czarnej ważki. Nam co innego koniec wskazuje, zawał, rak, no i starość, jak w tym przypadku, ale bez ważki.

Czarna Babinia ponownie upadła w dziadziarkę, w twarz, w odbicie i w kamień, w dwa kamienne lśnienia, w lśnienie tak podwójne, że jak w gołe kolano obalonego posagu ze spiżu, który miał stulone kolana, a jedno wyższe, skrzesła skroń. A było jej przed chwilą wesoło, lekko, nieważko, a było jej po chwili twardo, boleśnie, czarno, skrzesła skroń. Przez chwilę czuła, że żyje w ciemności. +ciemno mi — takie słowa wydrapała paznokciem w dziadziarce. Kiedy Naraje w kilkoro wbiegli w konopie po ścieżce wylamanej przez Filiponę w odrzykijach, aby się rozweselić,

natknęli się na martwą Czarną Babinę, twarzą na lśniących wypukłościach, skrzesła skroń. Przeczytali jej ostatnie słowa. Wążka wisiała nad nią jeszcze przez chwilę, po czym zabrała swoje stylonowe rozciągnięte iks i odleciała do krainy znaków.

Tak to tak. W dniu pierwszym naszej ery Czarna Babinia skrzesła skroń. Zdążyła coś powiedzieć stalówką paznokcia. Mało. +ciemno mi

Została pochowana zgodnie z obyczajem Narajów: w trumnie z bardzo cienkich desek czarnego drzewa, zwanego czarnydrzykiem, pachnącego naszą Coca-colą z domieszką benzyny, a wtedy nadgnała kurzwą, taką która nie zdążyła nakurzwić. Zastukano Czarną Babinę Filiponę drewnianymi kołkami z czarnydrzyku. Na wieku znalazł się tradycyjny znak Narajów, wydrapana wążka, uproszczona, tak i tak, w iks. I zaśpiewali pieśń żalobną, podobną do naszego Ojcie Nasz: bozia nasza która się jawisz każdą istotą na ziemi która otwierasz i zamykasz nam oczy otwórz oczy czarnej babini i zanieś ją dokąd chcesz niech widzi dalszą swoją drogę i nie wódź jej przez szul

To Ojcie Nasz było inaczej mądre albo jeszcze głupie, jak kto chce.

Inwokując, nie używali wołacza. Żadne tam nasze Czesiu, Basiu, i może Boziu.

Zwracali się do tej, która się nie kręci, nie wybiega, aby wbiegać, która: była: jest: zobowiązana tego dnia do uwagi: zobowiązana: zobowiązana.

bozia nasza daj filiponie oglądać chleb nieba

Widzieli, że niebo jest kopulaste, jak kształt ich chleba, że musi być chlebem.

Na grobie Czarnej Babini usypali kopczyk. Co roku na wiosnę będą usypywać taki chleb na grobie Czarnej Babini i śpiewać żalobną całość Bozia Nasza, rytmicznie, tak jak oddychali, tylko trochę szybciej, jak biegnąc. Zobowiązana oddychała tak tego dnia wraz z nimi. Dziś w tym miejscu rośnie smocze oko, czarna kurzwa, nadal kurzwi jaskrawo czerwono, ale pachnie inaczej, jak świeżo zwęglone włosy lub jak węglące się opuszki palców wraz z paznokciami, a jeśli nadgnije czy zgnije i nie zdąży nakurzwić, to zawonieje mysim gniazdem i domiesza smugę



acetonu. Kopczyk zniknął wieki temu. Rosną w tym miejscu skarłate czarnydrzyki wielkości E.T. i tak samo pomarszczone. Kwitną drobno, czarno, z odcieniem czerwieni i z połyskiem. Owoc: czarny, drobny, podobny do owocu jałowca. Niejadalny.

bozia nasza prowadź czarną babinię po chlebie nieba pozwól filiponie spożywać chleb nieba pokaż nam jak czarna babinia płynie przez chleb nieba nie raż filipony za mocnym światłem w chlebie nieba połóż czarną babinię na puchu w chlebie nieba niech filipona odpoczywa w chlebie nieba spraw aby nad naszym szczęściem czarna babinia czuwała z chleba nieba i abyśmy czarną babinię filiponę czuli przez chleb nieba

Na sam koniec zaśpiewali krótką pieśń czarnej ważki: czarna babinia filipona wlana teraz do mniejszej formy która jest pojemniejsza niż nasza jawa bo jest jawą pośrednią i ma w sobie to i tamto niech się uniesie na czarnych skrzydłach które nic nie ważą niech przez porzucenie tej formy znajdzie się w miejscu wysokim w miejscu szerokim w miejscu złotym i na wieki dobrym

Słowa każdej pieśni śpiewali płynnie. Potykali się przy próbach ich zapisywania. Wciąż nie byli zbyt biegli w literowaniu, w zapisywaniu wygłosków głosu. Pieśni były wyszlifowane wielokrotnym powtarzaniem i wypływały z ust bez skrepowania — ze staranną pełnią wygłosków w głosie.

Czarną Babinię pochowali w dziadziarce, spowinawszy. Na głowie i wokół twarzy uformowali fałdy tak, że była jak ciasna chusta. Postanowili, że każdą Babinię będą spowijać tak w dziadziarkę. Chcieli mieć takie płótno. Kiedy się pochylali nad Czarną Babinią, ujrzeni swoje odmłodzone twarze. Chcieli mieć dziadziarkę.

Postanowili, że nie będą uprawiać odrzykija, ponieważ Czarna Babinia zmarła w konopiach, a przez pole odrzykijowe tylko przebiegła, ignorując. Poza tym odrzykij, jego podczarno-podbiałe kwiat, powodował zatrzymanie w marzeniu produkcji rzeczy uprzyjemniających — zbyt wielu mimo wszystko zapomniało rozetrzeć podczarny płatek jako odtrutkę i poprzestało na marzeniu.

Kilka nowoczesnych słów Czarnej Babini, dotyczących *boziałości*, już dość okrągłych, pisanych dość wprawnym paznokciem, czerwonym pigmentem, robionym na kurzwie z gumiaką:

+matki zwierzęce co roku mają dzieci albo jedno aby zapomnieć i następnego roku powtórzyć macierzyństwo tak samo mocno i znowu zapomnieć znowu powtórzyć taki trud bez doświadczenia bycia przy tych samych dzieciach aż te zostaną matkami+ nawet nie wiedzą które nie żyje kiedy już mają następne+

Wszystkie litery Filipony były okrągłe. Lubiła powtarzać: — A my nie mieliśmy trudności z wynalezieniem koła i wszelkiej okrągłości. Koła wędrowały po niebie, świecąc w oczy. Koła mieliśmy od razu, jak tylko poprawiliśmy wzrok powstając z czworaków. A inni też powstawali, ale i tak łazili na czworakach. A ptaki od zawsze chodziły na dwóch nogach. Człowiek nie może się chełpić z powodu dwunożności. I skrzydeł nie posiada. I często gorzej śpiewa.

Na pewno nie wbiegała w konopie po to tylko, aby się rozweselić i posłuchać własnego głosu na echu ze zmierzwionego i spuszonego złota, białego. Świadczy o tym jedno z jej zdań, kończące opas, zaczynające się od kapliczki, ale że ostatnie, to lecące z opasu w dół i bez miejsca na zakończenie kapliczką: +jestem sama i mogę płakać do woli i bez echa jestem

I jeszcze jedno zdanie, wyniesione z konopi, do niej należy, bardzo współczesne: +jestem sama i jest cisza wokół i przez cały czas zawraca głowę tylko głos wewnętrzny+

Za Filipony Naraje zaczęli mówić o abstrakcyjnych litkach, że to znaki.

Słońce w paski: w dzień pogrzebu Czarnej Babini takie było, kiedy zachodziło. Szkarłatne w czarne poziome paski, równe jak od laluty, naszej linijki. Więcej znaków nie było, a poza tym nie wiadomo w ogóle, co by to miało oznaczać, ale na pewno coś oznaczało, a to przez pokrewność z ukochanym przez Filiponę pigmentem, robionym na kurzwie z gumiaką — Naraje odwzorowali ten bardzo okrągły szkarłat w paski jako znak najpierw nic nieznaczący, ale wyjątkowy, a potem zaczęli się nim posługiwać, gdy rocznicowo wspominali Czarną Babinię — malowali go na bibułkowej tkalemli, wycinali i sypali na jej grób, a dopiero u Picassa lub Miró, mężczyzn z innej kultury, innego czasu, można odnaleźć ten znak w znaczeniu głęboko malarskim — pamięć na naszej planecie krzesze zmarłych w hubce z jeszcze



żyjących nas, i widzimy przez gwiazdki, przeskakujące w nasze oczy, zasilające je. To znaczy był jeszcze jeden znak tego dnia, wieczoru, że coś się stało — księżyc, ostry jak nasz Błady Niko.

Dzik: — Błady Niko. Nie, nie. Trwożnie w niebo Naraje nie patrzyli. Niebo wtedy było wyższe, czystsze, barwniejsze. Chmury miały ludzkie twarze i sylwetki, wyraźniejsze niż dziś. Można było rozpoznać nieżyjących sąsiadów i to ciemnowłosych. Ciemnowłosy Naraj po niebie płynął i płynie. Naraje w tym czasie poważnie traktowali takich sąsiadów. Nie w całości jednak tu lokowali życie po. Chmury miały własne życie po byciu chmurą, ale jednak bawiły się w zdymanie wciąż nowe balonów z ludzi, transportując ich w miejsce złote i na wieki dobre, wyczuwane, że jest, ale bez definiowania metageografii. Przez te balony z ludzi przedzierał się wasz Błady Niko czy ich okrągły szkarłat w paski i pasował do dnia, wieczoru. Miał znaczenie naturalnej estetyki, wetkniętej korzeniami w miejsca złote i na wieki dobre. Widzieli, jak planeta wysoko i nisko prezentuje swoje stany uczuciowe i nastroje odświeżone. A tęczę były tak szerokie, że składały się z waszych dwóch niemieckich autostrad. Wpatrywanie się w tęczę gwarantowało gibkość stawów i uniknięcie garbu na starość — w tym czasie była to narajska zasada odwrotności widoku. I myśleli, że tęczą to paleta taka, do lizania przez podskakujące kwiaty i roślinność wszelką. Paletę taką nazywali sumusem. I zawsze było widać przód burzy: wypsykiwała wąsy i syczała z dziurawych kłów jak wasze parowozy. Rozpędzała się. Na kołach tak białych, że trzeba było mrużyć oczy. Widzę groźniejszy przód ludzkości, ale on mnie omija. Bo nic we mnie nie widzi. I dobrze.

Współ-odczuwanie z naturą!

### 3.

#### Filipa

Upłynęło więcej niż siedemdziesiąt lat. Naraje z Naraju nadal uprawiali konopie, ale zaniechali, jak już wiadomo, uprawiania odrzykija, zdziczał, i pielęgowali alfabet, filiponkę, i zapisywali myśli o świecie i rachunki sposobem Filipony, Czarnej Babini, teraz ściśle według jej życzenia, po dwanaście słów na tydzień i systemem opasu bez okrzyginesów. Od lewej do prawej, odwracamy kartkę, od lewej, odwracamy. Używali jej pigmentu, robionego na kurzwie z gumiaką, ale nie tylko. Opracowali nowy, czarny i zielony — pierwszy z pijawek, nassanych nie wiadomo czego, i na starej gumiacie, i drugi — z wyciśniętych zielonych ślimaków na nowej gumiacie ze strączków akacji. Marzyli o dziadziarce, więc zamówili ją u handlarza Chińczyka. Pod koniec roku składali teksty w nowym archiwum, niskim budynku, wymurowanym z granitów obok kamiennego dzika. I w tym samym czasie archiwum zaczęło schodzić do podziemi, zapadać się, i tak już będzie. Drzwi znikną, a kartki będą sypane przez otwór w dachu, zamykany na ciężką żelazną kłapę. Stworzyli książkę, sfruwającą w utrwalający grób. Nad książką tą czuwała Bozia Arkail, która nosiła ciężkie spódnice ze skrzyń, zapomnianych ciemnych piwnic, głębokiej wody tuż przy dnie, trumien i tego, co nad trumnami — zasypanych dołów. Była mnoga i w mnogości stała nieruchomo — nad miejscem i pod miejscem. Nie modlili się do niej.

Wyrywamy wnuczkę z mroku ahistorii. Naraje to rozjaśniający składnik mroku naszej duszy. Powinniśmy już mieć osobisty stosunek do Narajów i narajskości. Jak coś jest uprzyjemniające, to pamiętamy, a jak coś krzywdzące, to nie. A jak coś było krzywdzące i za krzywdę odpłacone przez nas jeszcze większą



krzywdą, to też nie. Nie pamiętamy na przykład Dzikimura, znalazcy toporów do siekania ludzi na szczapy, posiekanego na szczapy przez Łachmytów, i nie pamiętamy odwetu za tę śmierć — spalonej przez Narajów wioski Łachmytów i wszystkich Łachmytów żywcem. Ale w miejscu wioski Łachmytów wyrósł tymczasem las dębowy i trzmiocinowy, więc miejsce pamiętać musimy. No to pamiętamy bez pamiętania Łachmytów, tak jest dobrze. A zresztą tak naprawdę to nie wiadomo, czy to Naraje spalili żywcem Łachmytów, czy to sami Łachmyci wywołali pożar i ze strachu rozbiegli się, i nie wrócili. Wierzyli, że pożary wybuchają tylko w miejscach przeklętych. Może ani narajska szulanka, ani tatrytowa matniowa linia wcale nie wspomogły pożaru ani go nie wywołały. Upływająca godzina wzmacnia wątpliwości. Załóżmy, że o tej godzinie, którą mamy, należy pamiętać Narajów ładnie.

Dęby rosną długo, a te rosły błyskawicznie i przypominały pierwszą falę uderzeniową potopu, ponatykanego na grube maszty, ale były wciąż młodzieńcze, wesołe. Wiatr dowolnie migłował w tej rosłej i wciąż rosnącej młodzieży i chichotał, i łapał się za własny ogon, i kąpał, aż odkąpywał liście jesienią, ale dopiero za jakieś sześćset albo tysiąc lat odkąpie na zawsze — lity mundur rozszczypie się dołem na skrzypiące nogi i dęby spróbują chodzić, i padną. A trzmiociny wybujały. Siegały dębom pod ramię. Zawsze towarzyszyły dębom w rośnięciu, ale kiedy te stawały się majestatyczne, trzmiociny obumierały, aby się już nigdy w tym miejscu nie pojawić. Owoce, trzmioty, jadalne, pełne smaku dzisiejszej skwarki, wysmażonej w strup, przypominały z kształtu bruchate ogórki. Naraje cenili je z innego powodu: wyrabiali grzebyki z ich pest. Pesty miały wielkość piąstki dziecka i twardą skorupę, zamkniętą szczelnie na dwa rzędy zębów — wystarczyło obgryźć skwarę, oczyścić pestę z resztek, rozłupać skorupę, aby tylko nie pękła, a była łamliwa niekiedy, choć na ogół twarda jak kość lub niebieski kamień, i nieco pogłębić rowki pomiędzy zębami, a mieli do tej czynności piłaki z niebieskiego kamienia, i dwa grzebyki gotowe. Odpilować cztery ogony. Miały cztery ogony. Białe były te grzebyki z domieszką łososia z różowymi plamami i przypominały zakrwawioną kość słoniową. Czasem zęby pesty

nie chciały się rozewrzeć, a całość pękała zawile, z licznymi dopływami, a jeśli pękła pośrodku mniej zawile, a ogony nie odpadły, to się otrzymywało nie dwa duże, tylko cztery małe grzebyki, widelce takie. Miały jakieś siedem, osiem, dziesięć zębów. Osadzali te wybrakowane zakrwawione grzebyki na drewnianych jestach i grzebali nimi w glinianych miskach, i jak na rozwiniętych lalucich widłach podnosili do ust swoje potrawy (co to są laluty — wyjaśnimy potem). Pestę nazwali śmiechem, to te widelce też. Była Babinia Jesta, miała nad górną wargą strasznie zmarszczony widelec, wbity w dziurki nosa i wychodzący pomiędzy brwiami. I był Baba Jestuś, miał nad górną wargą dwa włosy proste i fruwające, a na brodzie trzy, skręcone i przysiadające jak prawdziwe sprężynki. I była Babinia Jestakropa, miała pod nosem brodawkę z wgłębieniem, zawieszoną jak hamak, z wynurzającym się pogiętym czarnym widelcem, który był jak kończyny wylegującego się w prywatnym hamaku trzmiela, i brodawka ta zdawała się buczyć.

Miażdż trzmiotów miał białą barwę, łupina też, ale powłoka skorupy pesty, jak już wiadomo, była różowa, to znaczy w różowe plamy w łososiu, a serce w tej skorupie było różowe w całości. Do jedzenia było za gorzkie i za ostre, ostrzejsze niż nasze ostre papryczane kaptury. Po wysuszeniu nadawało się do czego innego, do robienia koralu. Czerwieniało. Osiągało czerwień głęboką, prowadzącą oko w dziurę w ziemi do wyobrazonego jądra, jakbyśmy to ujęli współcześnie, a wtedy była to czerwień bardziej wypukła, jak leśny pożar. Proszek z tego strupa nadawał się do farbowania portek w praktyczny kolor gnojowicy, pałającej.

Filipa, wnuczka Filipony, naszej Czarnej Babini, miała po niej pole z konopiami, już bez pól odrzykija obok, ale nie robiła tkalemli, jak babka, a zajęła się wyłącznie robieniem płótna. Tkalemła przez jakiś czas nazywała się kalemla i lemla, a w końcu zastąpił ją papier, ale jego rodzaje miały swoje nazewnicze smaki. Bulbula została zastąpiona przez papę. To pod wpływem języków, roznoszonych przez wędrowców. Papier za Filipy robiła zgodnie z ogólnym przepisem Filipony jej boczna krewna, tak boczna, że można ją wyprowadzić z rodu jak współczesną drogę podporządkowaną, odszczypaną od autostrady i prowadzącą — wciąż tak samo bocznie — do jeszcze dwóch dróg podporządkowanych,

Spis treści  
martyrologii  
niepamięć k. giedl.



oczywiście w ramach Naraju, a był wąski, jak wiadomo (mówiono: nasza narajska wężyzna), a badacze, jak też wiadomo, obecnie używają nazwy Wężyzna Narajska. Boczna krewna miała na imię Jarzębina. Jej papier był tak samo dobry, jak papier Filipony, choć bez domieszki włókien z odrzykija, nietkalemlowy, a z dowzorem bocznych ciopów i jedynie ze sposobem z dzikich odrzykijów. Sposus ten zawsze będzie obecny w narajskim papierze, nadając mu barwę ołowianej bieli i sprowadzając konopną żółć do nikłości. Papier bocznej Jarzębiny z powodu bocznego dowzoru z ciopów Naraje nazwali filorzębiną. W tym czasie zrezygnowali z pisanja na obsikach. Robili z nich kilkuwarstwowe wycieraczki. Imię bocznej Jarzębiny pochodziło od jarzębiny, która malowała sobie wargi w kulki. Boczna Jarzębina malowała sobie wargi w cztery kulki, pomadką z jarzębinowego soku na wiśniowej żywicy z domieszką sproszkowanego złota. Jej wargi lśniły współcześnie, karnawałowo.

Filipa pewnego razu z oszczędności i dla zabawy zszyła trójkątną szmatkę z resztek portu, czerwono-białą. Spodobał jej się kosy kształt szmatki — nazwała ją kosyną. A Jarzębina czasem podobnie sztukowała ścinki z filorzębiny, z tych samych powodów. Obie damy Narajki wpadły na ten sam świeży pomysł. Ale na co to ma pójść? Uznały, że na nowe znaki Narajów, noszone na głowie, a te z papieru gdzie bądź wtykane, w okiennice i szczyt jam. I w dachy. To było jak nasza sezonowa muzyka z odbiornika, wystawionego na parapet, no i z wiotkiego odbiornika opasującego czoło. Jamy, do przechowywania zimą wszystkiego, co bulwiaste, miały niskie strome słomiane pokrycie, więc wetknąć kosynę było łatwo. A dachy domów, te to były twarde, przebogate, ale o tym potem, aż będzie gotowa zupa z kotem — z powodu twardości pokrycia należało w nich poszukać miejsc podobnych do naszych zrazów, ustawionych jak doniczki. Kosynami kobiety zaczęły przewiązywać włosy w ten sposób, że trójkąt kosyny miały na czole, a związanie z tyłu. Jako ozdobę traktowały ciopy z tyłu głowy i za uszami i wyglądały jak nasza karuzela. Na ciopy nabełtywały po kilka koralu z serca trzmiotu, i karuzeliły. Mężczyźni tak samo poopasywali czoła kosynami, ale bez tej karuzeli. Poopasywali czoła miękkimi piramidami. A dachy, każdy

z kosyną w doniczkopodobnym zrazie, wyglądały jakby pies podobny do lisa wystawił tam ogon lub jakby od spodu ludzkim nosem z ciekawości wiało. I my tak wyrastamy. I w tych samych barwach — biel i czerwień. Filorzębinowe kosyny nie miały ciopów. Znamy podobne, trójkątne znaki, proporczyki.

W dniu oznakowania Naraju kosynami Filipa zapisała odkrywczę zdanie, złożone z prawie dwunastu słów i wielu wygłosków, opracowanych przez Czarną Babinę i na jej kartce: +jajko zniesione wczoraj jeszcze przez trzy tygodnie wygląda dobrze+

Naraje poszerzyli słowa i dodali do konstytucji, pisanej kredą po rdzawej blasze: +świeże jajko jest dobre dla nas wszystkich bez wyjątku+

Zdanie uznali za dobre zaklęcie na jutrzejszy dzień i pasujące do mentalności. I zaczęli je wygłaszać na wszelkie pożegnanie, skracając czasem do: świeże jajko dla wszystkich bez wyjątku.

Nie znali wykluczającego wyjątku. Wiedzieli, że człowiek nie jest w stanie żyć w pojedynkę. Bali się, że komuś rozdepczą życie, albo że jakiś wraży człowiek rozdepcze życie Naraja.

Nie było wśród nich ani jednej osoby, która nie dokonałaby jakiegoś wynalazku lub nie pomagała go wykonać i upowszechnić, byli ze sobą zespoleni jak współczesny lekarz i pielęgniarka, a bardziej jak lekarka i pielęgniarz. A niepamiętne czasy przechowywali w kilku zdaniach, wykutych na pamięć, a zdania te brzmiały po naszymu mniej więcej tak, a od czasu do czasu wygłaszały je Babinie lub któryś z Babów: Pamiętacie? Pewnego dnia, dawno temu, nieważne, czy w niedzielę czy środę, zebraliśmy się w pewnym miejscu na wschód od zachodu, nie będąc plemieniem, a tylko wymyślaczami rzecz uprzyjemniających, a wywodzimy się z różnych plemion. Co roku przesuwaliśmy się na zachód od wschodu, i trochę na północ, i poprawialiśmy trochę na południe, i znowu na północ, w ucieczce od wraży krwawych ludów i od władców, przede wszystkim od władców, na zawsze od władców, aż stanęliśmy w tym miejscu, w Naraju, pomiędzy wschodem, zachodem, północą, południem i południem poprawionym północą, a do nas dołączyli podobni do nas z południa i południowego wschodu. Nieważne, czy było to w niedzielę czy środę. Z chwilą, kiedy zakotwiliśmy się tutaj,



w Naraju, podpiwniczywszy nasze domy i wymyśliwszy jamy, kryte stromym dachem, dla przechowywania bulw wszelkiego rodzaju, już nie zechcieliśmy donikąd wędrować, ani przenosić z miejsca na miejsce naszych domów. Zakotwiczenie się jest przyjemnością. Nigdy więcej już się odkotwiczać nie będziemy. Mamy zamiar żyć z wymyślania rzeczy uprzyjemniających. Będziemy zwoływać zebrania wszystkich nas, od dziecka po starca bez zębów i z zębami, aby postanawiać sposób naszego życia od chwili wymyślenia nowej rzeczy uprzyjemniającej. Tak nam dopomóż Bozia Nasza, Bozia każdej środy i niedzieli, i pozostałych skibek tygodnia.

Uroda narajska, kolor włosów i oczu jak nasz mokry cement, była wynikiem pierwotnego wymieszania się wielu kolorów, podobny efekt zaobserwujemy w naszej plastelinie: gniotąc jej wyjściowe kolory w jedno, otrzymamy rezultat — nasz mokry cement.

W Naraju mieli wszystko: ptactwo z gatunku zobaczy i pierzycowe, poddomowione pierzycy; leśną zwierzynę — basetle, pipoty, szczółki, rogajła, szercze, i inne, pojawiające się i znikające w danej epoce — w tej były te; drzewa, na przykład dęby i okresowe trzmiociny i wiele innych, w tym lipry; grzyby — plecione i krzewne oraz kurzwiące — dranie, i wiele innych, na przykład błękitne cielorki — kapelusze na niepromienistych szynach, ryjczaki — barwy dzika, szczeciniaste i jak zmiętolony i uskrzydłony ryj, a szczególnie cenili grzyb rumiane ucho, zwany też uchem nielaluta lub uchem wzruszenia, w skrócie — wzruchem; ryby mieli, małe jak szewska igła i ryby olbrzymie — mamy i omamy, a także otrąki, no i kiscze (gatunek prezerwatywodajny); i była ryba miéciora z wąsami, które to wąsy były potężne i jak skarpety, i miały przetarte pięty, i po ozdobnym zacerowaniu mogły stawać się prawdziwymi skarpetami, przezroczystymi jednorazówkami na święto; i była jeszcze ryba dziana i otrzewna, a przede wszystkim rybka szczęścia, zwana piką słonecznika, zapływająca oczy marzeniem, jak w przypadku odrzykijowego kwiatu — po złowieniu (ręką, podpływały) należało wsunąć w pysk rozpuszczalną karteczkę z jednosłowną prośbą „Uczyń”, pomazać rybką oczy i wpuścić ją z powrotem do rzeki, a wtedy, jeśli oczy zapłynęły ponownie marzeniem, a ono stało przed

nimi na zewnątrz jak żywe, spełniało się — ale to już okres schyłkowy dla piki słonecznika, choć jedzenie jej było zakazane — rozpuszczalne karteczki z miętowej klejoki wyrabiała Babinia Pikowa. Mieli rzeki cztery i piątą, szeroką jak te cztery — wody toczyły barwę azbeniku i klanu — powoli, nie rwąc, choć podbite były górskim kamienistym dnem. No i mieli użytecznego kamiennego dzika z ostrymi świńskimi świdrującymi oczami. I glinę, która po wypaleniu była wątrobianą, cementową, szerczową, błąkatną i błękotną, pobląkana w kropki, pijawkowa i kijankowa, także brujowa i brukowa, liczydłowa, papilarna, tumanna, obląkana, niebolesna — chodzi o barwy, dziś dla gliny nieistniejące i trudne do ustalenia, prócz wątrobianej czy cementowej. I mieli pępowinowy szlak handlowy od Chin do tego miejsca. Dużo mieli. Mieli w sam raz.

A dachy mieli z, ale o tym potem, jak będziemy mieli zupełnie z kotem.

Filipa miała męża, który miał na imię Czasownik. — Mój ty Czasowniku — odezwała się pewnego dnia Filipa — potrzeba mi lepszego przyrządu do tkania, bo ta rama do niczego, płótno wychodzi wąskie, po brzegach ciopate, i tkanie to żmuda, ręce bołą. Potrzeba ramy, żeby się samo tkalo. Wymyślmy to razem, mój ty Czasowniku. A Czasownik był bardzo ruchliwą osobą, ale zarazem bardzo leniwą, chociaż coś tam lubił, gotować. Nieraz, że był ruchliwy, przez to nieuważny, to i pikę słonecznika zjadł — czyjeś marzenie zjadł, i potem w nim te marzenia puchły, aż cały był nimi poznaczony, reflektorzył cudzym światłem, i marzyciele bęgalili za nim, aby dotknąć swego marzenia, odebrać. Widzieć cudze marzenie, to było coś. Dokonał odkrycia, które jednak musiał trawić sam. A zasmakował. Pika słonecznika miała wielkość męskiego kciuka i do niego była podobna: na łepku nosiła paznokieć, zwany koroną. Czasownik właśnie już z premedytacją przyrządził sobie przekąskę z czterech pik słonecznika, nadzianych cudzym marzeniem, i zobaczył: cztery cudzołożenia. Nie wiedział, czyje, a teraz były jego. Widział się w cudzym łóżu z czterema młodymi Babiniami, nie miał głowy do krosna. Tymczasem odgadł, czyje to były marzenia: czterech Babów w podeszłym wieku tupało za nim i dotykało: oddawaj



marzenie! W końcu marzenie zostało wyssane z Czasownika. Czasownik, wykonaj krosno.

Ruchliwy Czasownik wpadł na leniwy pomysł, aby zrobić dwie ramy, jedną z pionowymi filami, a drugą, mniejszą, z poprzecznymi, i żeby ramy potem móc ścisnąć tak, aby file stworzyły gęstą kratę, jedne w drugie bez trudu wchodząc, tak że należałoby tylko ścisnąć ramy. — Jakże ścisnąć ramy jedną w drugą, i co, file same się zlepią? — Filipa nie była ucieszona leniwym pomysłem ruchliwego Czasownika. Myśleli razem. Tymczasem Filipa zjadła ostatek Czasownikowej nowej przekąski, nieświadoma, co je — pika słonecznika po podsmażeniu, a przedtem złupieniu korony paznokcia, była jak inne rybki tej wielkości, klapki na przykład, a przekąska składała się tym razem z ośmiu pik słonecznika, zjadła osiem ogonków, i teraz ona wzięła udział w cudzym marzeniu, dzieląc je z Czasownikiem: ośmiu bardzo starych Babów marzyło o założeniu hodowli piki słonecznika w skrytym miejscu, ale co to było za miejsce, to już nie wiadomo — przecież Filipa zjadła tylko część tego marzenia i Czasownik tylko część, i nie składali w całość, nie rozmawiali o tym. Ośmiu Babów tupało za nimi i w końcu marzenie zostało wyssane, i pozostało niezrealizowane. Filipa nigdy się nie dowiedziała, skąd jej przyszło do głowy to cudze marzenie. Dziwiła się, że bardzo starzy Babowie za nią łążą.

— Już wiem — Czasownik przedstawił nowy leniwy pomysł na krosno. — Na jednej ramie u dołu file będą nanizane na kołki w jeden rząd, a u góry na drugiej też tak samo, na kołki, tylko w dwa rzędy, i jak puścić poziomą filę i zdusić ramy, aby jedna wyrzała przez drugą, i przesunąć poprzeczną filę do góry, docisnąć poprzeczną filę, to się wszystko zejdzie w gęstą kratę. Samo. — To wtedy potrzeba stojaka na ramy i ruchomych desek, to wtedy pójdzie, i coś poprzecznego do dociskania poziomej filii. I ławkę, śliską, do przesuwania się — Filipa wciąż nie była zadowolona z leniwego pomysłu ruchliwego Czasownika. Jednak wykonał ramy w stojaku i resztę, krótką ławkę. Wtedy Filipa proponowała, żeby było odwrotnie, żeby poprzeczną filę docisnąć z góry na dół. Z poprzeczną filą sam Czasownik biegał, okręciwszy się nią, i odkręcał się. — Pomniejsz się — zażądała

Filipa. To wtedy Czasownik pomniejszył się, biegał w kucki. Ostatecznie powstała struktura: wysoki lewy stołek przeciągał filę na prawy wysoki i opadała gilotyna, gęsto zębata, i prawy wysoki stołek przeciągał filę na lewy wysoki. I było w kratę ścisłą. Na wysokich stołkach działali tak Baba Partakus I i Baba Partakus II, a pomiędzy nimi latał Czasownik, pilnując porządku poprzecznej filii, namotanej już nie na niego, tylko na trzymany dwoma palcami przyrząd wysnuwający, brzuchot, z którego fila była przechwytywana przez Partakusów. Opracował i umieścił na dole struktury wałek, i on rzeczku płótna zbierał i napinał. Babinia Filipa latając po ławce od Partakusa do Partakusa, ignorując Czasownika, a czasem wołając, aby tak nie migotał przed oczami, aby znowu się pomniejszył, wylatała tyłkiem ławkę do tego stopnia, że była jak czerep rogaty.

Tkała na Czasowniku i Partakusach długie proste rzeczki, bez śladu bocznych zarośli, w paski, nawet ukośne i bananowe, i bananowo na krzyż kratkowane, i na leniwy krzyż z obcasem: we współczesną pepitę — tu jeszcze wprowadzono dodatkowy mechanizm w postaci Baby Wzorokłada, który rzutował pepitowy wzór przy pomocy maletowej różgi, po której sękach pepita pełźnie regularnie, gdy odłamać gałązki. Baba Wzorokład, podwieszony u sufitu w sieci na kiszce i podświetlony zeczką olbrzymią (z główką w szkółce, pseudoszkieleku z klejoki) — bardzo dobrze to rzutował i równie dobrze wykrywał błędy, jakby był Demokrytem i śledził atomy. Pepita Filipy jednak nie była staranna, czasem przypominała sprasowane wiązki chrustu z rogami zamiast obcasów i nie w tę stronę. Ścieg Filipy, robiony na Partakusach i Czasowniku, był jedynym takim ściegiem na świecie: co chwila zmieniał się w inny, pęczniał, wpukał się i wypukał, i rosła rzeczka gnieciona, szarpana, jak wylepiona z suchych różanych płatków lub żywych brzuchatych pik słonecznika. Nie powstydziliby się jej nasi królowie.

W tym czasie piki słonecznika zniknęły. Wyjadł je potajemnie co do jednej leniwy ruchliwy Czasownik? Nie. Nasi badacze i nasi turyści przysięgają, że co dwanaście lat o szóstej rano w pierwszą niedzielę maja podpływają pod miejsce po Naraju. Całą ławicą, we wszystkich rzekach, najpierw gęsiego, rybiego,



potem zwartą ławicą. Pierzchną przed podpływającą ręką. Zdzi-  
czały albo wiedzą, że człowiek zdziczał i wyżre, i wychleje rzekę,  
aby wyżreć. Starodawna nasza rybka szczęścia, nasza pika sło-  
necznika, boi się nas. A wtedy, od czasu jej zniknięcia, Babinia  
Pikowa nadal wyrabiała rozpuszczalne karteczki z miętowej kle-  
joki. Były wrzucane do rzek i już do rzek była kierowana proś-  
ba „Uczyń”. Należało wybrać moment, gdy w falach ławicowały  
słoneczne lub księżycowe blaski jak drobne piki słonecznika.  
Nie wiedzieli o majowej niedzieli z prawdziwymi pikami.

Czasownik uwielbiał też rybę mlepankę — rozpływała się  
podczas smażenia i tworzyła mleko, i było jej więcej niż było,  
i jadło się ją łyżką.

Naraje oczekiwali, że Filipa spełni ich marzenie: wynajdzie  
plótno tak lśniące, że odbije odmłodzoną twarz, dziadziarkę na  
wzór tej od Dziadziarów. I będzie z tego nowe plótno grobielne,  
do spowijania Babiń. Dziadziara długo nie nadchodził z zamó-  
wioną dziadziarką. W ogóle się nie zjawiał.

Filipa podejrzewała, że w trzmiocinach poza pestami, zaci-  
śniętymi na zęby, czerwonym barwnikiem i miąższem trzmio-  
tów, musi być jeszcze coś tajemniczego. Trzeba było śpieszyć się  
z odkrywaniem tajemnicy, zanim trzmiociny obumrą. A dęby za-  
częły nagle potężnieć. Już wiatr nie kąpał się w nich z chicho-  
tem i bardzo lekkim miglowaniem, koziołkując, tylko z jękiem  
przeciskał się pomiędzy dużymi gęstymi liśćmi i potężnymi gę-  
stymi konarami, cieniał, znikał wraz z ogonem i długo nie wra-  
cał. Niedługo po trzmiocinach nie będzie śladu.

To mogą być liście. Były długie, prawie ludzkiej postaci i bar-  
dzo włókniste, a okazało się, że włókno było jak z mlecznego  
miękkiego szkła i ułożone w staranne kosmy, tylko powyciągać  
z kształtu, i nie urywało się, a zakręcało — dość długa była to fi-  
ła w jednym liściu, jak nowocześnie opakowany w specjalną fo-  
lię (ciemny wodnisty granat) długi cieniusieńki, włosowy kabel,  
płasko zwinięty. Wypakowała niemal gotowy materiał, tylko  
podczesała na przyrządzie, w tym czasie zwanym czesiu-grzesiu,  
naczłapała i sprzędła. Wytknęła kawałek, a Czasownik kręcił się  
z poprzeczną filą w strukturze pomiędzy Babami Partakusami,  
i płócienna rzeczka załśniła bardziej niż dziadziarka, i bardziej

niż dziadziarka odbiła i odmłodziła twarz, tyle że w ścieg — usta  
w usta z profilu, grube wargi. Tymczasem zima zeżarła pozosta-  
łe liście, filę oszczędzając tylko miejscami.

Zebrali następnego roku liście ze wszystkich trzmiocin, du-  
żo, i wygrzebali zeszłoroczne, też dużo, i jakoś powiązali i wwią-  
zali jedną w drugą ocalałe zeszłoroczne file — supły puszczały,  
stawiając uszy szercza, albo zlewały się, tworząc napitego klesz-  
cza, nie wiadomo dlaczego, co to była za reakcja po zimie, po-  
mogli Filipie w procesie przygotowania kądzieli, choć przyrząd  
czesiu-grzesiu zacinął się na pozimowych reakcjach, ale w koń-  
cu kądziel wycziesiu-grzesił. Zaczęła tkać, a Czasownik się kręcił  
z poprzeczną filą w brzuchocie pomiędzy Babami Partakusami.  
Tkała dla siebie. Umrze po wytkaniu całej rzeczki. Dawno obwo-  
lano ją Babinia, Krosną, a teraz za zastąpienie dziadziarki  
trzmiciarką została Babinia Trzmiotą, a Czasownika za pomoc  
w wymyśleniu nowego krosna i słuzenie za mechanizm w struk-  
turze pomiędzy Partakusami dawno obwołano Babą Gilotyną  
Krętką, a teraz za pomoc w tkaniu rzeczki nowej, trzmiciarki,  
został Babą Trzmiakiem Krętką, choć był leniwy, a ponadto wy-  
jadł wszystkie piki słonecznika albo skutecznie odstraszył, co  
na jedno wychodzi, w każdym razie jadł je ze smakiem, o czym  
na szczęście nie wiedział nikt, prócz tych, którzy skrycie marzy-  
li o tym i owym, ale oni milczeli na te tematy.

Jakaż to była trzmiciarka, rzeczka nowa! Z konopnym wzo-  
rem czarnej ważki po brzegach. Odtrzmieciła, odmładzając, ca-  
ły Naraj. Nawet włosy odtrzmieciła, pusząc szopenowo i niuto-  
nowo, jak to widzimy na naszych komediowych filmach. Wszyst-  
ko jednak w ścieg, wargowy, gruby, usta w usta z profilu. Luster  
jeszcze nie mieli. Odbijali się w wypolerowanych blachach,  
w chłodnym zaćmieniu. W wodzie; w zaćmieniu wędrującym,  
i falowali policzkami i uszami, a nos rozciągał się i mieli go pod  
uchem wraz z kiełbami, i w oczach i czole mieli kiełbie. Pierw-  
szy, niewielki kawałek trzmiciarki, rzeczki nowej, wytkany dla  
próby, oprawili w ramy i powiesili w domu zebrali — od niepa-  
miętnych czasów, za wyjątkiem ery biegu, musieli mieć taki  
dom, a przed erą biegu gromadzili się w różnych starych erach  
potajemnie, aby ustalać trasę ucieczki od władców. Dom ten



mieścił wszystkich, a było ich stale mniej więcej trzystu. W zebraniach brały udział niemowlęta i malutkie dzieci, drąc się albo śpiąc, zupełnie jak u nas większe dzieci w parlamentach.

Babini Filipie zmienili dostojności na Lśniącą Babinę.

Kiedy tak się po kolei odbijali w rzeczce trzmiciarki, nagle wypłynęła nie wiadomo skąd czarna ważka i zawisła nad głową Lśniacej Babini Filipy jako znak nieodwołalny. Niebawem miał zostać wstrzymany oddech osobie tak wskazanej. Wkrótce oddech Lśniacej Babini Filipy zatchnął się w czasie snu. Została spowinięta w rzeczke trzmiciarki, którą sama wytknęła, co prawda korzystając ze struktury z Babów, ale to ona była tej struktury motorem.

Na ceremonii pogrzebowej zaśpiewali Bozia Nasza — bozia nasza daj lśniacej babini filipie oglądać chleb nieba, a następnie krótką pieśń czarnej ważki — lśniaca babinia trzmiota filipa wlana do formy która jest pojemniejsza niż nasza jawa bo jest jawą pośrednią i ma w sobie to i tamto... niech przez porzucenie tej formy znajdzie się w miejscu wysokim w miejscu szerokim w miejscu złotym i na wieki dobrym

Leniwy, ale ruchliwy Czasownik, uznany za Babę Trzmiaka Krętke, bardzo przeżył tę śmierć. Zebrał się do pracowitego znie ruchomienia, przeznaczając dla ruchu dolną część ciała, i rozpoczął tkanie swojej rzeczki trzmiciarki z zapasu szklistej kądzie li. Tkał i tkał, tylko z pomocą Partakusów, aż wytknął całą rzecz kę trzmiciarkę od źródła do morza, którego nie było, stop, wałek, gniecioną, dla kilkudziesięciu Babiń, aż ławkę wygniół do tego stopnia, że już nie była jak rogaty czerep, tylko jak z pewną przesadą dolna połówka skorupy jaja naszego strusia. Jadł łyżką mleko z ulubionej ryby mlepanki i tkał. Mężczyzn nie spowijano w rzeczki, nawet jeśli ogłoszono ich Babami. Ubierano w nowe konopne sukienki do kostek. Śpiewano dla nich Bozia Nasza i krótką pieśń czarnej ważki, tak jak w przypadku śmierci Babiń i wszystkich Narajów bez wyjątku. Czasownik Baba Trzmiak Krętka wytknął tyle rzeczki trzmiciarki, że mogły z niej powstać lśniące wpukło-wypukłe sukienki również dla kilkudziesięciu świętych mężów, Babów. A gdyby trzmiciarki nie starczało, sukienki stawałyby się kuse, także dla Babiń — zrezygnowano by

ze spowijania Babiń. Odtąd obie płcie miały lśnić po śmierci, jeśli obwołano je Babami i Babiniami, z dopuszczeniem kusości ostatniego stroju. Wkrótce Nazwano go Lśniącym Babą Krętka. Żył bardzo długo, aż nie mógł się doliczyć lat. I w końcu nikt nie mógł się doliczyć jego lat. Mówiono potem, że ten Lśniący Baba Krętka dożył stu pięćdziesięciu lat, tkając rzeczke krosną. Rzeczeki niekrosne były tkane na starych ramach albo wiązane na kołkach, zwanych wrękami.

Trzmiociny obumarły.

Na filorzębinie, wytwarzanej przez boczną Jarzębinę, która była już Babiną Kosyną, a miała, mówili, więcej lat, niż miał Baba Czasownik Trzmiak Krętka Lśniący, kiedy umarł, to na tej filorzębinie nowy Baba, zwany Babą Mamką (opiekował się noworodkami) zapisał imię wnuczki Babini Filipy Lśniacej: +tafila+. Przyszła na świat w dniu śmierci babki. A Baba Mamka, Baba Mamka to był Baba Demetrius Mamka. Przybył kiedyś do nich z południa. Przydźwigał karpatki — długie kamienie, które były jak nasze pilniki i jak nasze piły do cięcia metalu.

W tym czasie umieli dusić i parzyć filc, a z niego wyrabiać mnóstwo rzeczy ocieplająco uprzyjemniających, zimowe buty na drewnianej podeszwie z filcowymi cholewami, pełznącymi powyżej kolana lub do kostek. Letnie też miały drewnianą podeszwę, a wierzch z cienkich filcowych pasków, wzmocnionych skórą. W butach wyjątkowo stosowali ostre, kanciaste ćwieki, nie kołki — nie znosili ani ćwieków, ani gwoździ, bo się zdawało, że nawet powietrze ranią. Drewniane podeszwy były bardzo grube, a przez to przybywało wzrostu. Kiedy na chwilę stawali boso, natychmiast wpadali w stan pogilotynowy, niezdarny — czuli się skróceni o pół twarzy, jakoś zawsze przez usta. A człowiek współczesny też czuje się zgilotynowany, ale inaczej, szkłem żywego propagandowego lgarstwa przez teleoczy. Jesteśmy wyszkiełkowani na żywca. Można rzec: jesteśmy podpropagandnie podsądni. Zupełnie inaczej niż przez narajskie przecięcie. Drewniany spód niekoniecznie podbił juchtem, oblepiał się ziemią i zdeptywał powoli. Zimą chronił stopy przed zimnem skutecznie, wystarczały cienkie filcowe papuclowe wkładki na bosą stopę. Zimowe buty były obcisłe jak skarpetka, w kostce i w łydce, i elastyczne. Na suchą zimę zamiast



drewnianego kopyta miały nabudowany zgrabny fundament z filcu. Drewno na kopyta pozyskiwali z drzew chodaczych, było miękkie w rzeźbieniu, niepękające, praktycznie niezdeptywalne. Drzewa chodacze, zwane też chodem, były niskie i miały gruby pień i dwa krępe ramiona, pokryte małymi krępyimi liśćmi, czerwonymi. Przedtem nazywano je sercowym drzewem lub drzewem krwi. Liście chodu były przydatne jako rozpałka. Z filcu dusili i parzyli też chude i grube materace i poduszki o kształcie walca i serca, i kapelusze podobne do naszych tyrolskich i kowbojskich, ale o kształcie damskim, prawie naszym paryskim, zaokrąglonym, i głębokie i płytkie berety bez antenek, i kamizelki jak nasze kuloodporne, i rękawice jak nasze prawie bokserskie, i płaszcze, giętke, miękkie, zwane giętką lub miętką, z kapturem jak nasze kaptury, a nawet kalessony, jakby walone bez stóp. Tu były zimne. Musieli mieć ciepło. Filcem ocieplali okna, kładli go na próg i na podłogę. Znali zatem coś tak nowoczesnego, jak wykładzina. Po tym, jak zniknęła rybka szczęścia, pika słonecznika, zaczęli przechodzić okres filcowy w całej pełni — kompensowali brak bliskiej cennej ławicy. Bułki, gliniane grzałki, też opatulali filcem. Były płaskie, z otworem jak w naszej butelce, szczelnie i głęboko zatykanym drewnianym kołkiem. Zimą rozkładali je w każdym kącie, i w nogach, gdy spali. Napelniane wrzółkami, a opatulane filcem, długo trzymały ciepło. Te do rozkładania w sieni napelniali drobnym żarem i też opatulali filcem — te miały gardło szerokie i pokrywke. Często wypalali te bułki uprzednio faszrując drobnymi kawałkami drewna, aby po wypaleniu zostawały puste miejsca, zatrzymujące ciepło. Dodawali drobny kamień, aby się po wypaleniu w bułkach zaszamotało, kiedy się potrząśnie, tak dla uciechy, i z tego powodu nazywali je też szamotulkami. Szamotało w nich, kiedy wiało przez sień, albo kiedy się je potrąciło. Przyjemnie było słyszeć szamotanie w bułkach szamotulkach, nawet gdy wiało. Ale potrzebne były porządne piece. Porządne mieli, ale tylko mniej więcej porządne, nie ogrzewały każdej ściany. Nową potrzebą był piec, duży jak nasze organy — dużo śpiewający ciepłem, dużym śpiewający ciepłem.

Inna Babinia, zwana Puchową Babinia, wiązała na wręczkach okrągłe czapki z szerczego puchu, puszanek. Puszanek były tak

napuchnięte puchem, że płatki śniegu strzelały z nich w górę jak koronkowe liczne gejzery. Ociepleni byli, wygejzerowani, ci wynalazcy rzeczy uprzyjemniających, ale chcieli ocieplić się na całego, żeby prawie na golasa móc przebywać w domu. Opatuleni po uszy filcem wyglądali jak omszone pnie bardzo starych lipr — poruszali się jakby wewnątrz pnia lipry, z poczuciem ciasnoty albo jak po liprowym gaju, od omszonego pnia do pnia omszonego. Puchowa Babinia związała małej Tafil małą puszanke, zawiązywaną na długie szercze uszy pod brodą. Miej ciepło.

Z Puchową Babinia zszedł się na głęboką starość Czasownik, Lśniący Baba Krętka. Mąż Puchowej Babini, Baba Filcanta, zmarł ze starości. Jego pierwszą żoną była Babinia Dusicielka — dusiła filc. Zmarł Baba Partakus I i Baba Partakus II. Struktura krosna przeszła w inne ręce, kilku Babiń Krosnych, Babini Krosnej Materki, Krosnej Trzmiotnej, Krosnej Ścieżnej, Ośnownej Krosnej. Już nie była to ludzko-drewniana struktura. Babinie wraz z Czasownikiem opracowały nową, drewniano-metalową, dochodząc po nitce, fili, do właściwych, mechanicznych kłębków. Powstało też krosno poboczne, fikajka — w rozchyłony ciasny rząd pionowych fil, parzystych i nieparzystych, wpadała fila poprzeczna, rzędy opasywały ją ciasno, krzyżując, i rzecz działała się od początku, działała się fiki. Zamiast Partakusów siedział u góry lewy i prawy mechanizm fików, żywy jak Partakusy. Z fikajki otrzymywało się płótno o nazwie palikówka, przypominające tratwę z palików, wąskie, krótkie, z przeznaczeniem na chodniki, ręczniki i serwetki, a wszystkie te drobne rzeczy z palikówki nazywały się ficzki.

Tymczasem słuchali szamotania się bułek szamotulek. Wypalali też bułki szamotulki z przeznaczeniem na noce miłosne. Te towarzyszyły im podczas pieszczot dźwiękiem prawdziwie muzycznym, prawie naszym fortepianowym, bowiem wkładali w nie, w wewnętrzne gniazda ze strunami, kamyki rzeszotowe, zwane mieńkami lub trunkami. Szamotulki z mieńkami-trunkami szamotały się prawie fortepianowo, kiedy szamotali się z miłości — tak było, toteż nie było to to samo, co jakieś tam tandetne skrzypienie łóżka, sztucznie nagłaśniane w filmach w miarę postępu cywilizacji. Znali słowa miłości, wygłaszane



podczas ceremonii ślubnej, a polegała na dwunastokrotnym skandowaniu tych słów przed wszystkimi w domu zebranych, i co któryś wieczór, już dla siebie i tyle razy, ile się zechciało:

żeby była miłość musi być tęsknota  
jeśli nie ma tęsknoty to nie mówmy o tym jak o miłości  
są małżeństwem jeśli za sobą tęsknią  
a jeśli nie tęsknią to nie mówmy o tym  
znam twój stan kiedy jesteś beze mnie  
tak jak ty znasz mój stan kiedy jestem bez ciebie  
ponieważ jest to stan podobny do śmierci  
to nie odchodź i ja nie odejdę

Zachowali pamięć o odrzykiju w piosence, ułożonej przez Praantę Rymiarza:

błoto a na nim obłok biały i odjęta waga ciała  
błoto w bieli stopa w pościeli  
człowiek ruchomy człowiek niesiony  
i nic się nie boi choć ugrzązł i stoi

I o Babini Filipie zachowali pamięć. Co roku na kopczyk jej grobu będą śmiecić ścinkami trzmiociarki i patrzeć, jak wzniezione wiatrem złocą się i błękitnieją, i znikają, albo odlatują stadem czerniejącym i nie ma.

Z filcu dusili i parzyli również zabawki, pacyny z ludzką twarzą. Nie były to nigdy pacyny zwierzaki, jak dziś u nas — nie wolno było uczyć dziecka wyjątku, że jak miś się obudzi, to nie zje. Dzieci nie stanowiły reszty, jak w tym czasie u innych narodów — pomagały w produkcji wynalazków i same wynalazków dokonywały. Mała Tafiła wynalazła cym, kiedy tylko nauczyła się bawić pacynami, cymać je. Chodziło o wynalazczą zabawę w pacynowe oczy. Oczy, wyraziście wznaczone w filc, nazywano zagadnieniem — pacynę należało tak cymać, tak ścisnąć filc, aby oczy zyskiwały pełnię wyrazu, aby stanowiły pytanie: Smutno mi czy wesoło? Chińskie oczy, cymane jako ściśnięte, odpowiadały, że wesoło, a narajskie, cymane jako rozwarte, że smutno. Dorośli też bawili się w pacynowe cymanie. Pytali: — O co pyta cym? I cymali formowanie odpowiedzi, na przykład cymali pacynę tak, że ściskali oczy w pionowe zeczki, co oznaczało: dziś z nieba posypały się płonące drzazgi lub: to przecież uśmiechnięty miś.

Oczy pacyn były malowane sterłą — szklistą gliną barwy obłąkanej lub azbenicznej, w sposób uproszczony: kółko i kropka. Nie zawsze stanowiły zagadnienie, czasem wybałuszały się targetowo, cymane ściskająco na jednookie lub bliskookie, obłąkane.

Matko, ojcze, dziś bawicie się tak samo, tylko gadacie zwierzątkami. Zwierzami. Misiem. Rozeźlonym misiorem. I patrz na was te same uproszczone oczy, targetowo. Coraz częściej targetowo, obłąkane. I to samo krosno wam tka i tka, tak samo cienko, choć stało się wielkie jak miejskie osiedle i nazywa się liczbą mnogą, a sploty stały się wykwintne, skomplikowane. Jakby pochodzące z obcej planety. Z wielu obcych planet.

Dzik: — Matko, ojcze. Jestem niską szarą chmurą z was pierwotnych. To moja władza nad wami. Obracacie się we mnie i w moje kamienne dzieci. A Naraje sądzili o władzy, że to bałwan odchodzący i bałwan nastający, i za nic nie chcieli pomiędzy sobą tak gadać o swoich, toteż ich nie wyłaniali. A piki słonecznika słońce smaży czasem na zwichrowanej utopionej patelni, albo księżyc zatrzymuje na powierzchni w pływającym policzku bez ucha. I tak nie dotkniecie, ale możecie wrzucić do rzeki karteczkę z miętowej klejki z prośbą „Uczyń”. Przyrząd czesiu-grzesiu został ulepszony. Bił i gryzł teraz kądziel, aż wybił i wygryzł z niejedwabistości. Jest to już gryzbijko. Ulepszyła Babinia Gryzbijka, a pomagał Baba Czesiu-grzesiu Kieł. Podobny przyrząd o nazwie kudłuj, autorstwa Baby Kudłujki, służył do kudłaczenia kądzieli na filc. Wrótce wyczerpie się zapas narajskiej trzmiociarki. Babinia Ajka wygłosiła w domu zebranych następujące słowa: — Teraz powiem coś do władcy, na szczęście nieobecnego. Moja obecność jest twoim kłopotem. Bo otwieram księgę mego życia i opowiadam miejsce w środę i niedzielę, i kiedy zechcę. Miejsce, które wolałbyś zdeptać swoimi, a przedtem zrównać z ziemią. Chciałbyś, aby twoi ludzie je zarośli, i miałbyś je z głowy. Co ja tu robię? A co ty tu robisz? Możemy się przepaść, tylko nie bądź uzbrojony.